

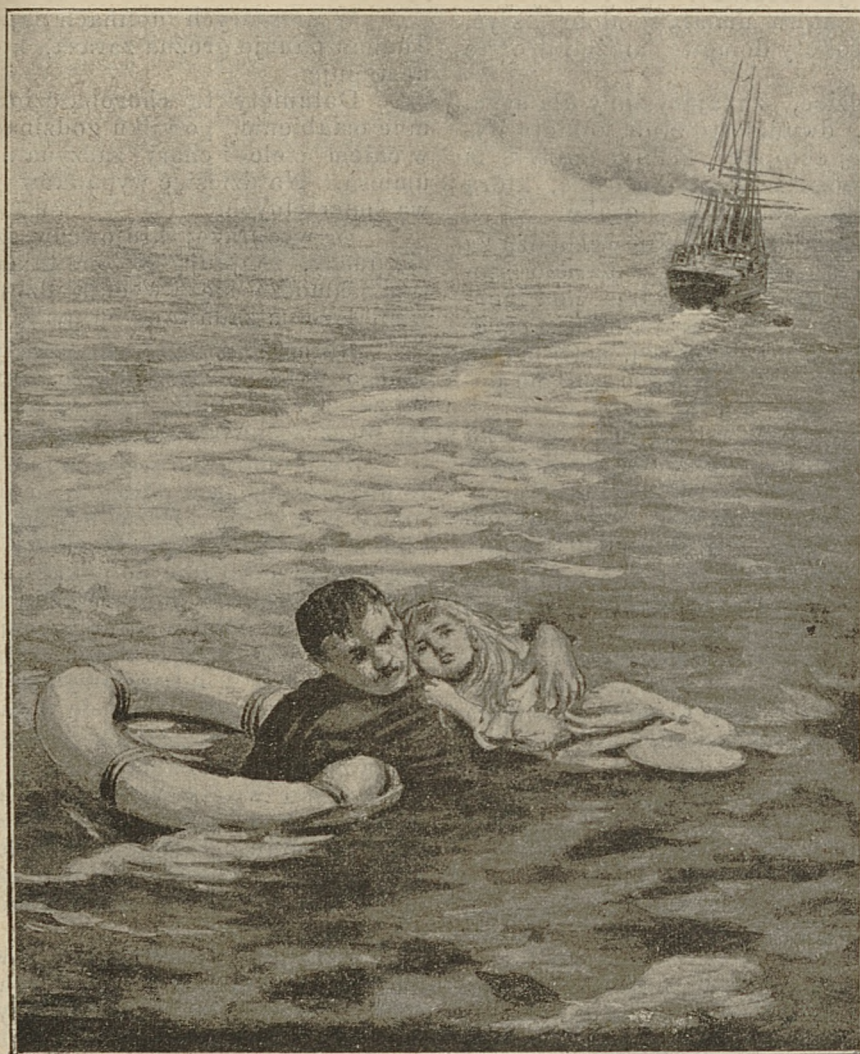
№ 47 Rok XXI.

Dnia 11 (24) Listopada 1900 r.



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Dzieci i Młodzieży.



OCALONY.

Rycina ta przedstawia ocalenie przez dzielnego marynarza dziecka, które spadło z pokładu parowca do morza. Uprzytomnia ona nam podobny czyn ojca Wańdzi, opisany w jej dzienniczku, w N-rze 46 naszego dodatku.

Sprawozdanie z konkursu robót ręcznych na str. 376.

NAJLICZNIEJSZY NARÓD NA ŚWIECIE.

Opracowała Tomira.

(Dokończenie rozdziału VIII-go).

To też ojciec i bracia niechętnym okiem patrzą na te odwiedziny, matka tylko z radością przyjmuje zawsze swoje dzieci. Jeśli wizyty takie odbywają się w pewne uroczyste dni, np. zaraz po Nowym Roku, wtedy nikt sprzeciwić się im nie może.

Synowa nie wraca nigdy z pustymi rękami do domu męża. Przynosi zawsze matce mężowskiej podarunek, najczęściej smaczne jakieś kąski. Zapomnienie w tym względzie lub niemożność, sprowadziłyby na jej głowę cały potok wymówek.

Między synowami z jednej strony, a zameżniami córkami teje rodziny z drugiej, toczy się nieustająca nigdy walka.

Synowe uważane bywają niejako za służące całej rodziny mężowskiej. Wybierając służącą, korzystniej jest wziąć kobietę silną i zdrową, która umiałaby dobrze szyć, gotować i spełniać wszelkie roboty domowe, aniżeli drobne i słabe dziecko.

Mają to na uwadze rodzice, szukający żony dla syna. Wskutek tego, nieraz boża, dwudziestoletnia kobieta wychodzi za młodszego od niej chłopca. Zdarza się też, iż potem musi pielęgnować swego małżonka w ospie, którą w Chinach uważają za wyłącznie dziecienną chorobę.

Wszystkie bez wyjątku kobiety chińskie wychodzą za mąż i, jak wspominaliśmy, zwykle wychodzą w bardzo młodym wieku. Większą część życia pędzą zatem pod nieograniczoną władzą matki mężowskiej. Nie trudno przedstawić sobie, jak opłakaną bywa dola synowej, jeśli matka jest dla niej niesprawiedliwą, a cała przybrana rodzina dokucza jej.

Właśni rodzice nie mogą nawet wstawić się za córką zameżną, co najwyżej służy im prawo upomnieć się o sprawy pogrzeb, jeśli córka z rozpaczy zachoruje i umrze.

Chociażby mąż krzywdził, a nawet zabił żonę, uwolni się od wszelkiej odpowiedzialności, gdy dowiedzie, że nie okazywała należnej czci jego rodzicom.

Jeśli zaś matka męża znęca się nad synową, skazaną bywa tylko na zapłacenie pewnej kary pieniężnej. Przed kilku laty głośną była w Chinach sprawa pewnej matki, która, jak się tam często zdarza, wychowywała dziewczynkę, kupioną na żonę dla syna. Pewnego razu w gniewie zraniła policzki dziewczęcia rozpalonemi szczypcami, a potem oblała ją jeszcze wrzącą wodą.

Tylko ludzi starszych wiekiem otaczają Chińczycy szacunkiem, młodzież zaś lekceważą zupełnie. W podróży np. najmłodszy towarzysz ponosi najcięższe trudy, najmłodszy służący w domu jest popychadłem wszystkich.

Niejeden młodzieniec, znękaný srogim traktowaniem przez starszych, porzuca dom rodzicielski, by wśród obcych lepszej szukać doli.

Opowiadano nam o pewnym chłopcu, który po przebyciu tyfusu miał szalony apetyt. Nie wystarczył mu zwykły czarny chleb, jaki wydzielano mu w domu, poszedł zatem na targ i tu wydał 20 groszy na kupienie sobie żywności, za co został przez ojca surowo ukarany. W rozpaczy uciekł do sąsiedniej Mandżuryi i odtąd nie słyszano o nim więcej.

Zdarza się czasami, iż rodzice dobrowolnie sprzedają dzieci swe w niewolę, innym znów razem mąż sprzedaje żonę. Lecz to są wypadki wyjątkowe. Handel taki na wielką skalę rozpoczyna się dopiero w czasie klęski głodowej.

W 1878 roku straszny głód nawiedził północne prowincje Chin. Sprzedawano wówczas takie mnóstwo kobiet i dzieci do środkowych, wyludnionych w skutek powstania

prowincyi, iż nie można tam było wynająć wózka, gdyż wszystkie zajęte były przewożeniem świeżo zakupionego żywego towaru.

Smutno powiedzieć, że dla biednych wieśniaków był to jedyny sposób uchronienia siebie i rodziny od śmierci głodowej.

Wspominaliśmy już, że do życia dziecka nie przywiązują Chińczycy żadnej wartości, a co zatem idzie, choroby dzieciinne nikogo nie zatrważają.

Ospa np. stroży się w Chinach nieustannie. Często spotyka się tam niewidomych, którzy w skutek tej choroby wzrok utracili, mimo to nikt nie troszczy się, by zapobiedz rozszerzaniu się strasznej zarazy, dla tego jedynie, że ofiarą jej padają głównie dzieci.

Dzieciom nie sprawiają nawet pogrzebu po śmierci. Czasami, zawiąwszy w rogożę, chowają je tak płytko, że wkrótce stają się one łupem zgłodniałych psów. Dlatego też nie mówi się o dziecku, iż umarło, lecz tylko „zostało wyrzucone.”

Ospę przyjmują Chińczycy obojętnie, za to tyfusu i gorączki tyfoidalnej lękają się ogromnie. Jeśli tyfus chwyci kogoś w podróży, lub w obcym miejscu, napróżno błagać będzie pomocy i opieki. Na wszystkie prośby usłyszy jedną tylko odpowiedź, iż to jest choroba zaraźliwa.

W niektórych dolinach najwięcej górzystej prowincyi Jünnan panuje groźna zaraza, którą podróżni opisują jak następuje:

Dotknięty tą chorobą człowiek ucywa nagle ogromne osłabienie, po kilku godzinach występuje straszny ból w całym ciele i chory zaczyna majaczyć, a wkrótce potem umiera. Na dziesięć wypadków tej choroby, dziewięć bywa śmiertelnych.

W wyobraźni krajowców izbę chorego przepełniają złe duchy, znajdują się one także w stołach i materacach, tam szamoczą się i wydają dziwne głosy, wyraźnie odpowiadające na zadawane im pytania.

Naturalnie, mało kto odważy się wejść do tak straszego pokoju. Misyjonarze zapewniają, że obawiając się tej zarazy, jak trądu, wszyscy uciekają z domu, pozostawiając nieszczęśliwego w zupełnem opuszczeniu.

Jeśli ofiarą gorączki padnie osoba starsza w rodzinie, to umieszczają ją w oddzielnym pokoju, stawiają przy łóżku naczynie z wodą. Drzwi bywają szczelnie zamknięte, obok nich stoi drag, którym troskliwi krewni dwa razy dziennie, zaglądnąc ostrożnie do pokoju, szturchają chorego, żeby przekonać się, czy daje jeszcze znaki życia.

Brak współczucia najwięcej daje się we znaki podróżnym. Kiedy deszcz letnie zrujnują gościńce, zdaje się, iż niebo, ziemia i ludzie sprzysięgli się na zgubę nieszczęśliwych, zmuszonych puścić się w dalszą drogę.

Nikt nie ostrzeże ich, że jadąc w danym kierunku, natrafiają na grzęzkie bagna. A gdy wpadną już w trzęsawisko i mimo wysiłków, wybrnąć zeń nie mogą, nagle, niewiadomo skąd, dokoła nich zbiera się gromada ludzi, którzy beczynnie, z rękami założonemi w szerokie rękawy, przypatrują się szanotaniu podróżnych. Dopiero po długich targach zdecydować się ktoś z tłumu dopomóż w wyciągnięciu wozu z błota.

Bywają nawet wypadki, iż wieśniacy okoliczni kopią umyślnie w trudnem do przebycia miejscu głęboki rów, by schwytywać w łapkę podróżny, wzywając tychże ludzi do pomocy, hojnie opłacać się im musiał.

W ogóle charakter Chińczyków cechuje niezwykle okrucieństwo. Spostrzeżę się ono nawet w obejściu z dziećmi. Dopóki małe, dzieci używają zupełnej swobody, z chwilą jednak rozpoczęcia nauki, los ich nie budzi zazdrości.

Łagodność poczytuje się tam za największą wadę nauczyciela. Niejeden uczeń po lekcji wygląda, jak gdyby wrócił z bitwy: głowa pokryta ranami, z których krew się sączy.

Zbytńia surowość i złe obejście nauczycieli doprawdę węższe dzieci aż do ataków konwulsyjnych.

W niektórych miejscowościach chińskich przechowuje się jeszcze zwyczaj, polegający na tem, iż kochająca żona po śmierci męża dobrowolnie odbiera sobie życie, by towarzyszyć mężowi w życiu pozagrobowym.

Pisma chińskie podawały przed kilku laty szczegółowy opis takich obrzędów, które odbyły się w okolicy miasta Foochow. W danym wypadku zmuszano wdowy chińskie, by ginęły przez uduszenie, poczem ciało ich palono na stosie.

Dla uczczenia niezwyklej ich cnoty, wdzięczna rodzina wznosiła im później wspaniałe tablice pamiątkowe.

Prawo chińskie przepisuje surowe kary za drobne nie-rzecz przewinienia, w praktyce jednak kary te bywają jeszcze o wiele srozsze, gdyż sędziowie nie trzymają się ściśle kodeksu, a większe znaczenie przywiązują do zwyczajów miejscowych.

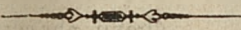
Zdarza się, iż według prawa winny ma otrzymać 5 uderzeń pałką bambusową, tymczasem skazują go na 10, a nawet 100 razy więcej plag.

Kradzieże uważają Chińczycy, z ogromnym trudem zdobywający każdy kawałek chleba, za zbrodnię, równą niemal morderstwu: nie wahają się też wymierzyć złoczyńcy doraźnej sprawiedliwości — przebijają go nożem, topią, lub co się częściej zdarza, wiążą i żywcem zakopują w ziemię.

W gazecie chińskiej z lutego 1888 roku czytamy: Gubernator prowincji Jün-nau zaznacza, iż w niektórych okolicach wieśniacy palą żywcem ludzi schwytych na kradzieży w polu zboża lub owoców. Aby zaś zabezpieczyć się od pretensyi, z jakimi później wystąpić mogłaby rodzina zmarłego, zmuszają krewnych owego złodzieja do podpisania dokumentu, iż ci zgadzają się na wymierzenie kary, poczem każą im własnoręcznie zapalić ognisko.

Kara taka spotyka czasem ludzi za złamanie jednej gałązki na drzewie.

Każdy z nas, przywykły do łagodniejszych obyczajów, wzdrygać się musi, słysząc o podobnych okrucieństwach.



Zofia Urbanowska.

RÓŻA BEZ KOLCÓW.

Opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej.

(Dalszy ciąg).

Popatrzył na siedzącego w zadumaniu baroneta, i oddalił się zwolna ku miejscu, gdzie odpoczywali uczestnicy wyprawy. Teraz już mógł się oddalić spokojnie, bo i trawta profesora zmierziała ku niemu.

— Sir Edwardzie! — wołał uczony Strand — siadaj pan z nami: odbędziesz miłą przejażdżkę po dystylowanej wodzie, i doznasz cokolwiek innego wrażenia, niż ciągle stąpając po lądzie.

Przewodnicy wysunęli naprzód wiosła, aby uchronić tratwę od uderzenia mogącego ją zatopić, i tak zwolna, podsunęła się pod skałę, u stóp której siedział baronet.

— A cóż Brachiopod — zapytał Warburton — czy jest?

— Nie — odrzekł z westchnieniem Strand; — trzy razy zapuszczałem siatkę dość głęboko: znaleźliśmy różne ciekawe istoty, ale niema między nimi Brachiopoda. Musi być w innym, wyżej położonym stawie.

— Walterze! — zawołał, oglądając się baronet — chodź, siadaj z nami.

— A czy ładunek nie będzie za ciężki? — zatroszczył się profesor.

Ale przewodnicy uspokoiли jego obawy, mówiąc że znacznie więcej osób zazwyczaj tu siada.

Baronet wstępujący na tratwę zwrócił się do uczonego z żartobliwym pytaniem:

— Jakże będzie teraz panie profesorze? Zapowiedziałeś żeby żaden z nas nie zbliżał się do ciebie, a przestrożenie jest tak małe, że trudno nam będzie trzymać się w przyzwoitej od pana odległości.

Profesor zmięszał się i dotknął mimowolnie ręką kieszeni surduta. O, z jakąż rozkoszą zatopiłby w głębinach to co się tam znajdowało, ale nie mógł niestety. Nie był sam, a za nic w świecie nie dopuściłby się tego przy świadkach. A przymtem przedmiot ten choć nie należał do rodzaju ryb, pływałby na powierzchni wody jak ryba i niema sposobu go zatopić. Westchnął, a baronet któremu żal się zrobiło uczonego Stranda wybawił go z kłopotu zapytaniem o faunę jezior.

— Ciekawa jest niesłychanie fauna jezior górskich — odrzekł z ożywieniem profesor, gdy tratwa znowu odbiła od brzegu. — Są w nich jakby trzy sfery towarzyskie, trzy światy: inne gatunki zwierząt i roślin pod wielu różniących się względami, żyją przy brzegach, inne w środku, a inne jeszcze w głębinach; ztąd też podzielono je na faunę przybrzeżną, śródjeziorną i głębinową. Zwierzęta żyjące pośrodku, zmuszone do ustawicznego unoszenia się na wodzie, i nie znajdując przedmiotu na jakimby spocząć mogły, wydoskonaliły sobie w wysokim stopniu narzędzia pływne, a natomiast utraciły narzędzia czepne, któremi obdarzone są pokrewne im gatunki przybrzeżne. Gęstość ich ciała zbliżyła je do gęstości wody, co im nietylko ułatwia ruchy, ale i utrzymuje bez trudu w każdej głębokości. Największy zaś przymiot tych stworzeń stanowi doskonała przezroczystość ich ciała; chroni je bowiem wybornie od napaści wrogów. Te istnie krysztalowe zwierzęta stają się niewidzialnymi, jak duchy. Na terytorium przez nich zamieszkiwanem panuje wielka swoboda, ale niema co jeść, bo tylko najniższe roślinki, czyli wodorosty, stanowią cały ich pokarm.

— O, to dziękuję za przymiot niewidzialności — wtrącił Walter.

Profesor mówił dalej:

— Muszą one skrzętnie uwijać się po olbrzymich obszarach wody, odbywać dalekie wycieczki w głębiny i ku brzegom, by głód zaspokoić. W głębokich jeziorach alpejskich napotymano je jeszcze w głębi 100 do 150 metrów, gdzie już panuje zupełna ciemność. W dzień kryją się w głębszych warstwach, w noc spokojne wypływają na powierzchnię wody; unikają światła, bo je razi, a u niektórych zauważono zupełny zanik oczu. Natura ich przystosowała się do warunków życia; pozbyły się organów niepotrzebnych.

— Powiedz pan raczej, że organa nieużywane, osłabły i stopniowo niedołączniejąc, coraz więcej zanikały.

— Gdy słyszę o zwierzętach, wyobrażam sobie zaraz ryby, a co najmniej raki — odezwał się Walter; — a jakąż jest pańska menażerya?

— Oh, ryby, co pan mówisz! Oneby poumierają z głodu w tej wodzie dystylowanej. Ryby w tym kraju przemieszkują w strumieniach, a co do jezior, znajdują się podobno tylko w jednym jedynym Morskiem oku, które też dla tego Rybiem się nazywa. W mojej menażeryi niema zwierząt kręgowych ani na lekarstwo: mój zwierzynek, to małe skorupiaki i robaki, to wrotki, małże, mszywioly, pierwoszczaki, rozwiłitki, widłonogi. Najliczniej reprezentowane są skorupiaki mikroskopowe, czyli raczki.

— Bardzo to wszystko pięknie, ale chciałbym widzieć owoc pańskiego połowu, wiedzieć co jest w sieci.

— Chcesz pan wiedzieć! — zawołał zachwycony — dobrze: patrz pan! Pokażę panu żywe krysztaly, te cudowne zwierzątka, niewidzialne w wodzie.

I sięgnawszy ręką do sieci, zaczerpnął garść ziarn przezroczystych, podobnych do ziarn gotowanego sago: były

to owe żywe kryształ, *Cladocera*, których przezroczystość pochodzi od galaretowatej osłony otaczającej zwierzątko. Sypał przez palce na wodę owe żywe kryształy, zwracając wolność złowionym zwierzątkom. Nagle kryształy owe spadając, zajaśniały blaskiem niezwykłym, rzekłby kto, że zmieniły się w diamenty i rubiny, a jezioro stanęło w ogniu. Walter wykrzyknął:

— O, co za cudowne zjawisko! Patrzcie, patrzcie!

A tam na brzegu, ci co spoczywali na kosodrzewinie, zerwali się także, i słychać było okrzyk jeden.

— O o o o!

Przewodnicy opuścili wiosła i patrzyli także: było to co zowią „żgnieniem gór.” Żółta turnia, Kościelec, Granaty, Kozi Wirch, pokryły się ciemną purpurą. Pożar obejmował je kolejno, w miarę jak słońce posuwało się ku zachodowi. Odbicie tego zjawiska w przezroczystej toni jeziora sprawiało, że żeglarze mieli wrażenie jakby płynęli po krwawej łunie. Zachwył odebrał mowę patrzącym. Po-

któr; — tam nad brzegiem jeziora a potem w górę, około Zmarzłego stawu.

— Ja chcę iść do Morskiego oka przez Krzyżne. Mówiliście, że do Krzyżnego trzeba koniecznie iść przez Jaszczurówkę, Psią trawkę i dolinę Pańszczycy; chciałbym wiedzieć, gdzie jest owa Pańszczyca.

— Tu za Żółtą turnią, która dolinę Pańszczycy od doliny Czarnego stawu dzieli.

— Tak blisko? A co to za szczyty widać na lewo?

— To Krzyżne.

— Więc gdy mamy je tuż pod ręką, chcesz pan abyśmy wracali się do Jaszczurówki, i stamtąd dopiero zaszliśmy z innej strony! Po co? Zamiast wracać, chodźmy przez Żółtą turnię w poprzek.

Malarz i doktor zamilkli, spoglądając po sobie, a Obroktka dowiedziawszy się o co idzie, powtórzył wolę baroneta przewodnikom, którzy obstąpili go, jeśli mu się z taką przyglądać ciekawością, jakby go po raz pierwszy widzieli. Spostrzegli że jest przedmiotem podziwu, ale i lekceważenia, i brwi ściągnął.

— Tędy nikt nie chodzi — odezwał się Witold.

— Jedną racją więcej, abyśmy poszli — odrzekł z pewną niecierpliwością; — jeżeli panom kierunek ten się nie podoba, to idźcie drogą wygodniejszą. Ja tędy pójdę sam i zaczekam na was na Pańszczycy.

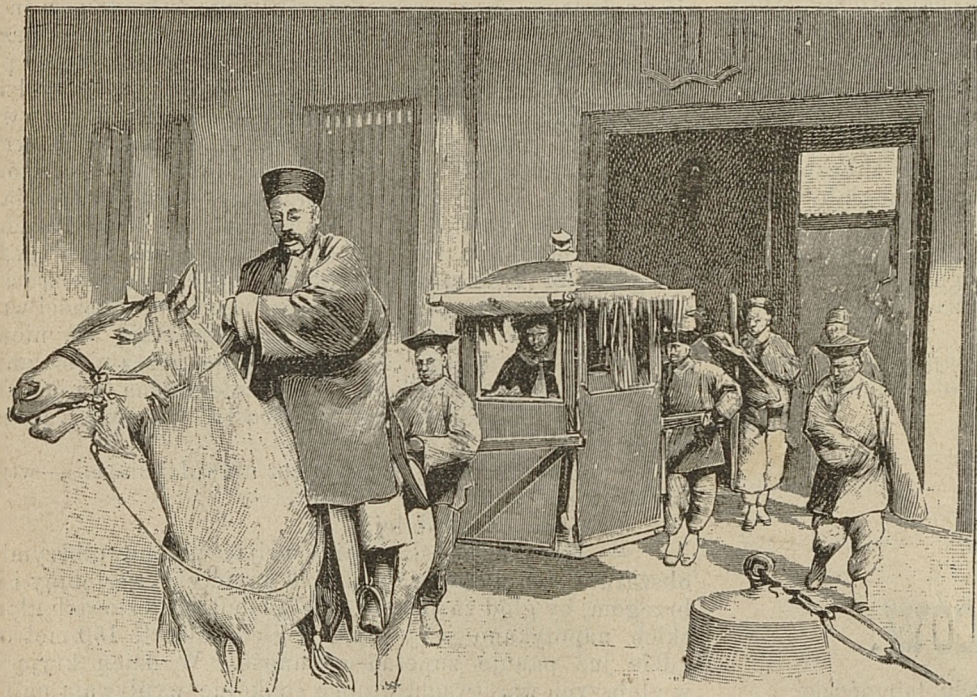
— Pójdziemy z panem — rzekł Witold, a Jakób powtórzył to samo. Co do profesora Stranda, to mu było wszystko jedno którą miał iść. Wszystko też było jedno Henrykowi, nie lekającemu się trudów, ale co do Dawida ten umierał ze strachu, i męczył Waltera prośbami, aby odradzał dziadkowi drogę przez tę okropną górę.

Jeden z przewodników odezwał się, że jeżeli już pan Anglik koniecznie chce, to iść można spod Żółtej turni na Dubrowiska, przez groble; ale drugi zaraz odezwał się, że to przejście bardzo niewygodne i że już lepiej będzie iść przez Żółtą turnię i Małą Koszystą. Na tem stanęło.

Nikt już nie odezwał się z protestem.

Nocleg przy Czarnym stawie okazał się koniecznym i baronet kazał rozbić namiot. Henryk ciekawie przypatrywał się tej czynności, którą Jerry chciał dyrygować, ale zanim zdolał porozumieć się z góralami na migi, namiot już stanął. Wszyscy co chodzili na wyprawę z Chałubińskim, umieli się doskonale z namiotem obchodzić i sprawili się zresztą i szybko. W szczelinach umocowali drążki zakończone żelaznymi ostrzami, i do nich przymocowali sznury. Gdy stanęły ściany i dach, Jerry rozesłał na ziemi wołok, urządził posłania z gałęzi kosodrzewiny, i okrył kobierczykiem, a na nim położył poduszkę gumową, którą nadał powietrzem. Znalazł się nawet stolik składany. Namiot był z płótna żaglowego nieprzemakalnego, więc choćby deszcz spadł w nocy, baronet nie potrzebował się obawiać przemoknięcia.

Wszystko było gotowe do noclegu, ale nikomu jeszcze spać się nie chciało. Dawid byłby chętnie położył się pierwszy, ale go wstyd brał; panowie rozmawiali paląc cygara, a górale zaczęli dorzucać kosówki na ognisko; gdy stos wielkim buchnął płomieniem, Obroktka wiał skrzypki i przygrywać zaczął, a górale puścili się w tańce, każdy na swoją rękę i zabrzmiała piosenka:



Mandaryn, udający się w lektycę na dwór cesarski.

dziwiali ten obraz w milczeniu i słychać było tylko plusk wiosła. Ale oto w oczach ich purpura pociemniała i zmieniła się w fiolety. Olbrzymi szmaragd w oprawie z czarnego marmuru, przeszedłszy kolejno przez wszystkie barwy: rubinu, granatu, ametystu, zagasł nareszcie równie szybko jak się zapalił, i łono jego stało się znowu czarne, straszne i tajemnicze.

XVIII. Pogrom.

— Czy Wasza Dostojność każe rozbić namiot? — zapytał Jerry swojego pana, gdy wysiadł na ląd.

Warburton popatrzył na niebo, na jezioro, i rzekł, zwracając się do towarzyszy:

— Panowie! Czarny staw jest pierwszym naszym etapem: Złożmy naradę co do dalszej podróży, bo od niej zależeć będzie, czy mamy tu nocować.

— Zdawało mi się, sir, że pan masz zamiar iść do Morskiego oka — odezwał się Strand.

— Tak, ale różne drogi do niego prowadzą.

— Stąd tylko jedna, przez Zawrat — przemówił do-



Juliusz Kossak.

Śmierć Stefana Czarnieckiego (p. str. 374).

W murowanej piwnicy
Tańcowali zbójnicy,
Kazali se pięknie grać
I na nóżki spojierać.

Warburtón patrzył na to z uśmiechem, chwając zrzęcałość i dzielność tego ludu oraz jego „fantazyę” i rzekł:

— Przed wyjazdem moim z Anglii, czytałem „Kartki z podróży” Wiktora Tissota, znanego autora „Podróży po krainie miliardów.” Kreśli on w swych kartkach obraz zakopańskiego proboszcza i mówi o jego pracy cywilizacyjnej wśród tego ludu. Otóż Tissot słyszał od wspomnianego proboszcza, że w kilka lat po jego osiedleniu się, Zakopane było kilkakrotnie napadane przez zbójników. Gdy raz napadli na pewien dom i napotkali silny opór, po zamianie kilkunastu strzałów, cofnęli się jakby nigdy nic, śpiewając, i odeszli poprzedzani przez swoją muzykę. Czy jestże to najoryginalniejsza w świecie fantazyja? Czy

słyszał kto co podobnego? Czy w którym kraju napastnicy kiedykolwiek napadali ze śpiewem i muzyką?

— Ksiądz Stolarczyk był niezwykłą postacią — odrzekł na to Witold. — Gdy wszedł na niewielką ubogą ambonę, zdawało się że ją zgniecie swoim ciężarem, ten olbrzym sześć stóp wysoki. Krzykliwym, rubasznym głosem wykladał prawdy wiary; nie unikał dosadnych, często ryzykownych porównań: u niego człowiek staczał się ku grzechom „jak wąż puszczone z Gewontu,” a „zakon Boży, to nie pomiotło, co stoi w kącie” — a „Pan Bóg nie dawał sobie w kaszę dmuchać.”

Podobne zwroty z początku raziły, ale wsłuchawszy się w nie, znajdowało się w nich nietylko wiarę i pokarm zdrowy, ale siłę i poezyę.

(d. c. n.)

Śmierć Stefana Czarnieckiego.

Smutna scena na rycinie naszej przedstawiona, działa się w roku 1665 w prostej chacie kmiecej, we wsi Sokołówce. Tu zwycięzca w setce bitw, pogromca Szwedów, jeden z najzacieplejszych mężów i największych wodzów swojego czasu, legł złożony wiekiem, ranami i niemocą.

Tu mu od króla list przynosi goniec
Z buławą dla wojownika.
Wódz rzekł: — ta łaska, kiedy życia koniec,
Już mię zapóźno spotyka.
Lecz widział każdy, że i bez buławy
Można zwyciężyć i dobić się sławy.

Już bliski zgonu rzekł: — niech koń mój biały
Wnijdzie jeszcze do tej chaty. —
Wstępuje rumak; rząd na nim wspaniały.
I obok tarczy buzdygan bogaty,
Siodło sajdków pyszne dżwiga brzemie,
Lecz widząc pana, głowę spuścił w ziemię.

I. U. Niemcewicz.

Stefan Czarniecki urodził się w Żornawiu w Sandomierskiem, r. 1559 z zacnego lecz niemającego domu i słusznie mógł rzec o sobie:

— Jam nie z soli, ani z roli, ale z tego co mnie boli urosłem.

Jest to jedna z najdzielniejszych i najpiękniejszych postaci w dziejach.

TESTAMENT DZIWAKA.

POWIEŚĆ

JULIUSZA YERNEA.

przekład M. D.

(Dalszy ciąg).

„Ale oto zachodnia Wirginia, gdzie kwestya utrzymania w dalszym ciągu niewolnictwa tak zawzięcie była popierana w czasie wojny Secesyjnej przeciw humanitarnym dążeniom obywateli reszty kraju, że aż przyszło do rozdziału, który się dotychczas utrzymał.

Jest to piękny szmat ziemi poprzerwany, szczególnie w stronie wschodniej, górami Appalache; tu rolnictwo z górnictwem przyjaźnie podają sobie ręce. Oprócz pokładów żelaza i węgla są i żupy solne tak bogate, że mogą zaspakajać potrzeby kuchni całego Państwa Zjednoczonego przez długie jeszcze wieki.

Wprawdzie pominąłem stolicę Wirginii wschodniej, Carlestone, którego nie należy brać za jedno z tym Charlestone, do którego udał się mój współpartner Kymbale, ani też z tym trzecim jeszcze, który w tych również znajduje się stronach, lecz udałem się Marstinburga, jednego z ważniejszych miast ziem nad Atlantykiem.

Tak jest, i proszę mię nie lajać o to, droga matko, poświęciłem całą dobę tej podróży, a to jedynie, aby dopełnić miłego obowiązku oddania czci prochom wielkiego bohatera, Johna Browna, którego imię złączone jest na wieki z historią wojny Secesyjnej. On to, jak sobie zapewne przypominasz, z małą garstką ludzi, ogrzanych rów-

nie szlachetnym uczuciem prawdziwej miłości bliźniego, podniósł pierwszy chorągiew anti-niewolniczą, a goniony i prześladowany przez plantatorów wirginijskich i milicję, dostał się ranny do niewoli i skazany na powieszenie, skończył życie dnia 2-go grudnia 1859 r. Przyznaj więc, że takiemu męczennikowi świętej sprawy, winien każdy uczciwy człowiek pamięć, cześć i uznanie.

Stan Wirginii, to niegdyś kraj niewolnictwa w całym tego słowa znaczeniu i główny teatr wojny Secesyjnej, kraj dotychczas bogaty w lasy i zwierzynę ale także w pola uprawne, wydające kukurydzę, żyto, owies, a przedewszystkiem bawełnę, z czego i ja po części korzystam, nosząc koszulę, i tytuń, co mi już jest obojętne, ponieważ nie należę do palących.

Richemond, do którego zajechałem szczęśliwie, i jak data tego listu wskazuje, przed wymaganym w grze terminem, słusznie zaliczane do ważniejszych grodów wschodnich Unii, leży na jednym brzegu rzeki James, gdy na drugim rozłożyło się niemniej wielkie Manchester. Dwie gwiazdy, jaśniejące obok siebie, czego zresztą w Ameryce częste mamy przykłady.

Z budynków miejscowych zdążyłem już poznać tu Kapitola w stylu świątyni greckiej, nad którą brak tylko ateńskiego nieba. Zresztą zbyt wiele tu dla mnie fabryk, mianowicie tabacznich.

Nie mam też zamiaru zwiedzania innych miast w tym kraju jak: Petersburga, Linchburga, Norfolk i t. d. które choć mają swe znaczenie w przemyśle, choć o niejednym wspomina historia z czasów wojny Secesyjnej, lecz są do siebie podobne jak bracia bliźniaki. Z przyjemnością natomiast spoglądam na ludność miejscową w $\frac{2}{5}$ kreolską, przedstawiającą typy wspaniałe; a wielką pokusą są mi teraz pieczary podziemne, znajdujące się w pobliżu małej miejsciny Lurey, pieczary o których mówią, że przechodzą jeszcze swą oryginalnością sławne Mamouth Caves, w Kentucky.

Wzmianka ostatnia przypominała mi znów Helene Nałęcz, która właśnie od tych grot podążyć musiała do przeznaczonego jej więzienia w Missouri, i pytam pełen niepokoju, jak sobie teraz poradzi przedewszystkiem z opłatą owej potrójnej kary trzech tysięcy dolarów!... Prawda, że mię rozumiesz, matko, jak mię ta myśl serdecznie może trapić...

Przylepione dziś na rogach ulic afisze powiadomiły mię, że sławny, choć nieznan X. K. Z. otrzymał 10-go czerwca punktów pięć i przechodzi do 51 przedziałka. Stał więc na samym czele gry, bo chyba tylko ty, matko droga, możesz marzyć o tem, żebym go mym jutrzejszym rzutem kości wyprzedził.

Ale czas zakończyć ten list i tak zbyt długi, więc całuję cię serdecznie podpisując swe imię, które obecnie ma tylko znaczenie nazwy konia wyścigowego na olbrzymim hipodromie gry Hyperbona.

„Maks Real.”

Siła pięści wielbego Huntera.

Można śmiało powiedzieć, że dla żadnego z partnerów wielkiej gry nie byłaby mniej odpowiednia czterdziesta siódma przedziałka, jak dla Crabba, tego bezmyślnego żarłoka-sifacza. A jednak rzut kości 31-go maja ilością dwunastu punktów właśnie mu ją przeznaczył.

I cóż mu przyjdzie z tego, jemu, co żadnej innej przyjemności nie zna prócz jedzenia, gdy znajdzie się w Philadelphii, wspaniałej stolicy Pensylwanii, która z Nowym Yorkiem i Chicagiem stoi w pierwszym rzędzie miast całego świata! Czyż nie umiałby całkiem inaczej korzystać z podobnej okazji ruchliwy Kymbale, lub równie inteligentny malarz? Ale wszakże nikt tu nie doбира, los tylko o wszystkim decyduje, a los najczęściej jest ślepym.

Zaraz po otrzymaniu telegramu od Tornbrocka spieszył Milner opuścić znenawidzone sobie Cincinnati, ten prawdziwy Porcopolis, jak go pogardliwie nazywał, gdyż

nie mógł wybaczyć jego mieszkańcom, że nie raczyli zwrócić najmniejszej uwagi na ciekawy okaz siłacza-olbrzymia, a natomiast darzyli zachwytem i podziwem potwornie utuczzonego wieprza. Czyż to nie oburzające!

— Poczekajcie — myślał, spoglądając na pusty peron z okna wagonu, w którym już usadowił Crabba i niecierpliwie czekał chwili odjazdu — poczekajcie, pomszczę ja się na was!

Lecz jaką miała być ta zemsta, którą Milner groził całemu miastu, sam nie umiałby powiedzieć; zresztą nie namyśla się nad tem długo; na teraz rzecz główna wygrać partję i zgnać miliony Hypperbona, których przecież z czterdziestej siódmej przedziałki jest już tak blisko, że wystarcza tylko wyciągnąć po nie rękę.

Podróż obecna drugiego partnera nie była daleką. Stan Ohio graniczy z Pensylwanią i obie stolice rozdziela zaledwie sześćset mil ang., na których przebycie potrzeba nie więcej dwudziestu godzin, tym pociągiem pospiesznym, którym wiół go z Cincinnati opiekun jego.

Po kilku też godzinach drogi zostawili za sobą miasto Columbus, z mostem na Ohio, które tworzy od wschodu naturalną granicę Stanu, i wjechali na terytorium Pensylwanii.

Nazwę swą ma zawdzięczać ta kraina kwakrowi, Williamowi Penn, któremu w końcu XVII wieku odstąpił rząd Angielski, tytułem spłaty zaciągniętego długu, część posiadanych obszarów w tej stronie Ameryki. Kwaker rosgospodarował się na swej nowej własności i założył pierwsze podwaliny Philadelphii. Ponieważ zaś w owej epoce ziemi owe pokrywały jeszcze nieprzebyte lasy, nazwa Sylwania *) wydała mu się najodpowiedniejszą z dodaniem jego rodzinnego imienia Penn, i tak powstała Pensylwania.

Gdyby podróż podobna przypadła kronikarzowi Trybuny, niewątpliwie byłby pospieszył zaznajomić swych czytelników, naturalnie z wielkim ich zadowoleniem, zarówno z ową historją jak i z ogólnym charakterem kraju, gdzie pasmo gór Alleganów ciągnie się od północy ku południowi, a równiny zdobią jeszcze dotychczas piękne lasy dębów, buków, klonów i kasztanów. Nie byłby też Kymbale zamilczał o obszernych tam łąkach, przedstawiających niespożyte pastwiska dla niezmiernej ilości bydła i pięknego gatunku koni, których oby nie spotkał los dziedziczył stad Oregonu i Kansas. Barwne też jego pióro umiałoby uwydatnić korzyści obszernych pól poświęconych uprawie morw dla hodowli jedwabników, oraz winnic, dających obfite zbiory; bo chociaż Pensylwania ma klimat nieco ostrzejszy zimą, lecz latem panują tam nieledwie podzwrotnikowe upały.

Popierając w dalszym ciągu swe opisy najwymowniejszymi cyframi, byłby kronikarz przedstawił swym współziomkom bogactwa tamtej ziemi w kopalniach węgla kamiennego, antracitu, żelaza, oraz w źródłach naftowych i gazu ziemnego. Mianowicie rudy żelaznej w najlepszym gatunku znajdują się tak ogromne pokłady, że słusznie ktoś nazwał Pensylwanię głównym składem stali całej Unii. Ponieważ zaś, jak wiemy, jest też Kymbale obok swego zawodu dziennikarza zapalonym myśliwym, jakież bogaty temat do kronik dostarczyłyby mu odbyte polowania na jelenie, dzikie koty, wilki, lisy i brunatne niedźwiedzie, które zamieszkują tam cisze leśną.

A z tem wszystkiem czyż pominąłby znaczniejsze miasta kraju, gdzieby mógł być pewny równie gościnnego jak wszędzie przyjęcia? Czyż nie zechciałby zajechać do miasta: Allagany i Pittsburga, przez które właśnie przejeżdżał jego rywal, Maks Real, w drodze do Richmondu. Czy nie byłby zatrzymał się w Harrisburgu, stolicy Stanu z wielkimi czterema mostami na rzece Susquehama, wypływającej z gór Niebieskich, na której wybrzeżu aż na kilka mil od miasta rozkładają się olbrzymie metalurgiczne fabryki. Niezawodnie też, wiedziony szlachetnym uczuciem, czułaby się przewieść na wielki cmentarz w Gettysburgu, byłym teatrze walk wojny Secesyjnej, gdzie w 1863 r. pole-

gli żołnierze armii zjednoczonej i generał Grant wkroczył do Missisipi po poddaniu się forticy Wicksburg.

Wreszcie zwiedziwszy inne w pełnym rozwoju miasta jak: Lancaster, Altona, Erie nad jeziorem tego nazwiska i t. d. pragnąłby też rzucić okiem na dolinę Seigth z wysoką górą Ours i sąsiednie kopalnie antracitu, które już od lat pięćdziesięciu niszczą płomienie. Dodać zaś trzeba, że nie brak też w tym bogatym kraju oryginalnych i malowniczych widoków, w których Maks Real znalazłby bogaty materiał do swych studi artystycznych.

Ale niestety, ani pierwszy, ani czwarty partner nie byli wysłani do czterdziestej siódmej przedziałki, a Tom Crabbe, a raczej myślący za niego John Milner, nie odczuwał potrzeby poznania kraju. Jego bohater przeznaczony jest do Philadelphii, więc tam go też tylko powiezie i to drogą najprostszą. A ma nadzieję, że już tam ogólna uwaga nie odwróci się lekceważąco od tak wybitnej osobistości, boć nie napróżno jest to miasto siłaczy. Gdyby zaś nawet nie nie uczyniono tego z dobrej woli, on znajdzie sposoby wysunięcia na pierwszy plan swego potężnego pupila.

Tymczasem zajechał wieczorem 31-go maja najspokojniej do grodu nie oczekiwany jeszcze przez nikogo, a przespawszy noc w hotelu, wyszedł sam nazajutrz, by rozpatrzyć się nieco i zbadać, o ile można, ogólne usposobienie.

Lecz jeżeli dla poznania jakiegos drugorzędnego miasta wystarcza kilka godzin, zbiorowisko takie jak Philadelphia, liczące w swym obrębie przeszło dwakroć sto tysięcy domów na przestrzeni, jak drugi Londyn, dziesięciu mil ang., wymaga nie mało czasu i trudu.

Wielki ten obszar tłomaczy się tem głównie, że niema tu, podobnie jak w Chicago, owych kolosalnych budynków, w których jak w ulu pszczoły, setkami mieszczą się ludzie. Tu cały dom zajmuje najczęściej jedna tylko rodzina; widocznie dobrobyt pozwala mieszkańcom grodu na taki zbytek.

Ulice też są tu szerokie, widne, pełne słońca i powietrza, a stare, zachowane z dawnych czasów drzewa, tworzą aleje i parki, na których utrzymanie i przyozdobienie kolosalne idą sumy. Tu właśnie znajduje się między innymi sławny, jako największy w Stanach Zjednoczonych, park Fairmount, obejmujący aż tysiąc dwieście hektarów nad rzeką Schnylkill, dopływem głównej Delaware. Po drugiej jej stronie, rozkładają się przedmieścia stolicy jak New Jersey, Cadmen i t. d. tak obszerne, że mogłyby być najsluszniej uważane za oddzielne miasta.

Ale John Milner ani myślał zapuszczać się tak daleko; wystarczało mu przejście głównych ulic rozchodzących się we wszystkich kierunkach od gmachu ratusza, wspaniałej budowli z marmuru, tak kosztownej, że wzniesienie jej pochłonęło miliony dolarów. Tamto na wieży, gdy będzie ukończoną, stanąć ma pamiątkowy posąg Williama Penna.

Nie uznawał też Milner potrzeby zwiedzenia ani arsenału, ani warsztatów okrętowych na wysepce Langue Island, ani gmachu celnego z marmurów allegańskich, ani mennicy, w której wybijaną jest moneta dla całej zjednoczonej Rzeczypospolitej. Nie zaciekawiał go w najmniejszej rzeczy gmachy marynarki, Muzeum historyczne, Kolegium w stylu korynckim, zabudowania uniwersyteckie, Akademia nauk przyrodniczych z cennymi zbiorami, albo wreszcie sławne obserwatorium astronomiczne w pobliżu pięknego ogrodu botanicznego. Nie wstąpił nawet bądź do którego z sześćdziesięciu kościołów, bądź do jednej z dziesięciu świątyń kwakerskich w tej dawnej, zamożnej stolicy.

Lecz bądźmy wyrozumiali na tę obojętność Milnera. Bo czyż przybył on do Philadelphii, by podziwiać jej osobliwości? Czyż wymaga kto od niego, tak jak mamy prawo oczekiwać od Kymbala, wyczerpujących artykułów, lub od Réala pięknych szkiców i obrazów?... Jedynym jego obowiązkiem było dowieść Crabba na miejsce, które mu ostatnia gra przeznaczyła, a pozatem chciałyby tylko jeszcze utrwalić sławę niezwykłego siłacza, w przewidywaniu konieczności dalszego prowadzenia tego rzemiosła, gdyby zawiodły go nadzieje wygrania milionów zmarłego dziwaka,

A gdzie znalazłby lepsze ku temu warunki, jeśli nie tu, wśród owych setek tysięcy robotników, zajętych w fabrykach metalurgicznych i chemicznych, przy budowie maszyn, w tkackich zakładach dywanów i materyi oraz wszelkiego rodzaju kwitnącego tu przemysłu. Oprócz zaś tamtych, ilu jeszcze ludzi czynnych jest w porcie przy ładowaniu węgla, nafty, zboża, różnych maszyn i całym tym ruchu handlowym, więcej jeszcze ożywionym w Philadelphii, aniżeli w Nowym Yorku.

(d. c. n.)

Sprawozdanie z konkursu robót ręcznych.

Robót 121. Nagród 28. Pochwał 41.

W Redakcyi naszej ruch niezwykły. Na pierwszy rzut oka wydać się może, iż to nie lokal redakcyjny, lecz jakaś pracownia ubiorów dzieciennych, bo na stołach, krzesłach, kanapach pełno sukienek, koszulek, fartuszków i t. p. przedmiotów. Kilka pań z powagą, przynależną urzędowi sędziego, rozpatrują roboty, porównują, rozkładają, przekładają...

Dzisiaj w Redakcyi w kącie idzie pióro,
Za to szydelko i igła górą!

Sędziowie na ogół zadowoleni z robót. Paniemek do konkursu stanęło siedemdziesiąt kilka, ale jak i w roku zeszłym z Warszawy stosunkowo najmniej. W robotach widać staranność i dobre chęci, a u wielu starszych dziewczynek — prawdziwą umiejętność i wprawę. Cieszymy się, że zamilowanie do igły, tak potrzebne każdej niewieście, nie zmniejsza się, lecz wzmacnia w kole naszych przyjaciółek. Oby tak szło dalej, pamiętajcie bowiem, że wprawianie się w robotach ręcznych wcale nie przeszkadza postępowi w naukach, że wiele utalentowanych i uczonych nawet kobiet nie gardzi tego rodzaju zajęciem i posiada wielką w tym względzie wprawę.

Plan konkursu tak się przedstawia:

Sukienek 45, koszulek 28, fartuszków 12, spódniczek 5 i wólczkowych 2, kaftaników 6 i wólczkowych 2; dalej 2 pary ciepłych rękawiczek, 3 bereciki, 1 czapeczka, 2 kaftaniki, 4 czapeczki, 4 kołnierzyki, 2 chusteczki, śliniaczek, robota na kanwie, torebka (nawet z karmelkami od Świtezianki). Razem sztuk 121.

Roboty te rozdamy przed gwiazdką ubogiej, potrzebującej działwie od czytelniczek „Wieczorów Rodzinych,” zalecając jej, aby wstąpiła do Boga za te, które *własnoręczną swą pracą* przychodzą jej z pomocą.

Nagrody i pochwały przyznajemy, jak następuje:

Najmłodsze. Nagrody: Julcia Samborska i Gwiazdka;

Pochwały: Wacia Leśniewska, i Natalcia.

8-o letnie. Nagrody: Zochna Ossowska, Joasia Heins, Różyczka z Pod., i Lilijka z nad Swisłoczy; **Pochwały:** Rusalka, Irenka Ciesielska i Wańdzia.

9-o letnie. Nagrody: Kocia Kossowska i Zosia z Niedziałki. **Pochwały:** Gosposia Marysienka, Iza Wasutyńska, Mania z Pod., Andzia Ilnicka, Wodna Trawka, Zosia Mańkowska, i Helenka Wołkówna.

10-o letnie. Nagrody: Jańcia Henisz, Maryńcia Ilnicka i Zunia Bekerman. **Pochwały:** Michasia z Pod., Lula, Wanda Wołkówna, Jadwiga Galecka, Jadzia Raabe, Złota Rybka, Polna Różyczka, Tolusia de l'Arbre i Wieszcza.

11-o letnie. Nagrody: Halka Dynowska, Świtezianka, Romcia z Pod., M. Szymańska, M. Rokossowska, Rybitwa z nad Wisły. **Pochwały:** Kwiat paproci, Mucha, Pliszka, St. Mirkulewiczówna, Iola Wazgirdówna, Irenka Mańkowska, Jedynaczka z Mińska, Marychna Ossowska i Czubatka.

12-o letnie. Nagrody: Krynia z nad Słuczy, Marya Wołodkowiczówna, Wanda Kojdecka, Mary Ludkiewiczówna, Motylek i Zosia Chmielińska. **Pochwały:** Topolka, Mysza z Orłowa, Wańdzia Daszewska, Alina Jasińska i Gucia Dobranicka.

13-o letnie. Nagrody: Zosia Raabe, Trawka Podolska, Bronia Heins i Kazita. **Pochwały:** Szarotka z Orłowa, Pajęczynka i Malina.

Dalej na nagrodę zasłużyła Róża z kolcami, a na pochwałę: Młode Orle, Felunia Roszkowska i Złota Chmurka. Dwie ostatnie nie wskazały swoich lat.

Po odbiór nagród prosimy o zgłaszanie się do Redakcyi lub o nadsyłanie kop. 14 markami na kosztu przesyłki. Paniom, które zasłużyły na pochwałę, Redakcyja roześle małe kalendarzyki na rok 1901.

Czytelniczki Wieczorów, któreby chciały obejrzeć roboty swych rówieśniczek, proszone są uprzejmie o przybycie do lokalu Redakcyi Wieczorów (Mazowiecka 10) w niedzielę dnia 25 b. m. między godziną 12-ą a 3-ą.

SZARADA.

Pierwsze jest znaną zgłoską w naszym alfabecie.

Drugie z czwartem najśłodziej woła małe dziecię.

A kiedy drugie z czwartem, z trzeciem wraz się złoży

To z nich wodna roślina zawsze się utworzy.

Trzecie samo na pasie ekliptyki błyszczy,

Albo jadem straszliwym ciałem ludzkie niszczy.

Lub ku istot wszelakich świadomej ohydzie,

Ciągłe na wstecz się cofa kędykolwiek idzie.

Wszystko wraz jest w naturze rozkosznym widokiem,

Lub wzrok ludzki zasmuca nieprzyjemnym mrokiem.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 43-go.

Szarady: O — ko — ło.

Arytmogryfu:

O o k h ż m t k e s n a a a w h s w u
n d l e u e o r q t i j r s i i u a i
t y e l r l b y z u o a a e t k p w t d
a s m l a b o y a l g c o a l ó a a e
r s e a w r l ż d n a c p r i l ł ż c
i e n d n u s a o i r i a t n i k k k
o a s a o n k k r k a o g e a t i a i

PRENUMERATA WYNOŚI:

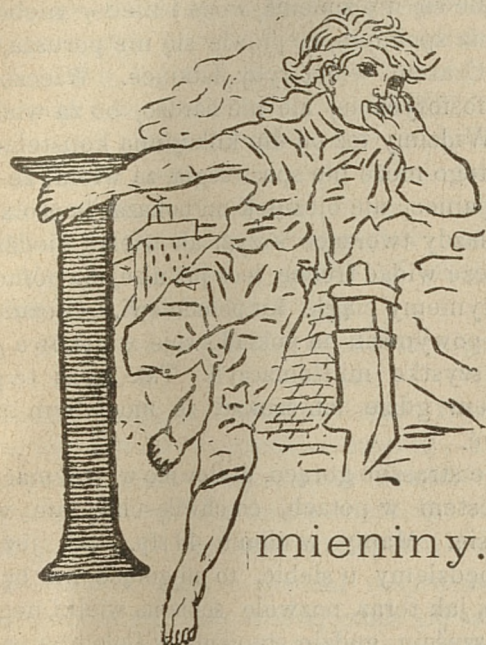
W WARSZAWIE rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii rocznie zlr. 6. — W Prusach: rocznie mar. 12.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Ocalony (z ryc.) — Najlichnieszy naród na świecie, opracowała Tomira (z ryc.) — Róża bez kolców, opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej, przez Zofię Urbanowską (z ryc.) — Śmierć Stefana Czarnieckiego (z ryc.) — Testament dziwaka, powieść Juliusza Verne'a, przekład M. D. — Sprawozdanie z konkursu robót ręcznych. — Łamigłówna i rozwiązanie. Dodatek: Abecadło w obrazkach. Imieniny (z ryc.) — Dobre dziecię, wiersz przez F. Marzec. — Dzienniczek Wańdzy. — Bajka o chłopcu zaklętym w karla. — Łamigłówna i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Mały książkę, powieść z życia żaków, według I. J. Kraszewskiego, przez Zofię Mrozowicką.

Abecadło w obrazkach.



mieni.

Dziś Ignasia imieniny. Siedzi na dachu i wesoło śpiewa, znaną piosenkę kominiarską:

„Kominiarza stan milutki,
Wytrze komin, golnie wódki
Machnie miotłą, skrobnie gracą
I za to mu ludzie płacą.”

Czego się tak cieszysz Ignasiu? Takiś czarny, takiś chudy, ubranie twe nędzne, nóżki bose; a powietrze chłodne, bo to ledwo 1-y luty. Więc czegoż się cieszysz? Czego? Bo pracę dostał, bo się już nie będzie włóczył po ulicach i żebrał o grosik dla biednej, chorej swej matki. Przyjął go kominiarz, teraz mu dobrze: i stawy dostanie i co tydzień zanieś mateczce grosz jakiś. A potem, jak wyrośnie, sam będzie majstrem-kominiarzem i nazbiera tyle pieniędzy, że mateczka jego nigdy już głodu nie zazna, nigdy w domu zimna nie będzie, nigdy chleba nie zbraknie. Więc wesoło mu na duszy i choć zimno i głodno, choć kominiarz nieraz pięścią poczęstuje, on wesoło śpiewa dalej:

„Choć się czerni, to rzecz marna
Biała dusza, choć pleć czarna,
Znam ja ludzi bardzo wiele,
Z czarną duszą w białym ciele!”

O! on nigdy takim nie będzie, jego duszyczka czy-
sta, niewinna, cóż z tego, że ciało czarne.

Dodatek do Nru 47 – 1900 r.

O waszych imieninach pamiętają rodzice i darzą was upominkami, o Ignasiu pamięta tylko Bóg i daje mu zdrowie, wesołość, pracę.

N. Nagórna.

Dobre dziecię.

Pięcioletnia Manusia, widząc, że jej mama Całe noce nie sypia, lecz zmartwiona sama Przy łóżeczku chorego brata, Stasia, czuwa, Taką prośbę z swej główki ze łzami wysnuwa: „Mamo droga, już nie płacz! ja dziś w nocy siędę, I przy chorym braciszku pilnie czuwać będę; Dam lekarstwo, usłużę, kiedy się obudzi, A mamusia kochana niech się już nie trudzi, Bo mi bardzo żal mamy! „Jakież dobre dziecię... Oby było najwięcej podobnych na świecie!

F. Marzec.

Dzienniczek Wańdzi.

(Dalszy ciąg).

Ojczulek mówił, że Europejczycy którzy tam mieszkają, jedzą same konserwy, przywożone z Francji, mięso, jarzyny, nawet masło — wszystko im statki dowożą.

Miałam nadzieję, że przynajmniej dostaniemy daktyli, ale i tych nie było porządnych, tylko bardzo nieapetycznej w handlach murzyńskich. Dzielnicę europejską przeszliśmy szybko, zapuszczając się do chat z płacht i drzewa siedzib krajowców. Tam widok był arcyciekawy. Tłumy gromadziły się około nas, prosząc o sousy. Tłumy rozmaitego koloru: miedziani i zupełnie czarni, z włosami jak wełna.

Dzieci wyglądały jak te mumie, com je w Louvrze widziałam. Są one pod i nad oczami malowane na niebiesko, a głowę mają owiniętą w czarny fez, co wygląda bardzo dziwnie i ciekawie zarazem. Gdzieś tam sprzedawano kawę, daktyle, ale ich kupić nie było sposobu, a także jakiś świecący przysmak w plastrach. Jeden chłopiec dla zachęty kładł mi go do ust, ale mi się brzydziło, nie miałam odwagi go zjeść.

Zapachy i wyziewy od każdego człowieka i u każdego namiotu wionęły tak silne, że aż się niedobrze robiło, bo oni

aby się ładnie błyszczeć, smarują się tłuszczem. Tyle zgromadziło się ich koło nas i tak ta dzicz natarczywie domagała się pieniędzy, że ojciec zaczął się obawiać i nas stamtąd prędko wyprowadził. Pomimo tego byłam zadowolona, że widziałam to wszystko, bo to było bardzo ciekawe.

Długo stałam jeszcze na pokładzie i patrzyłam jak powracali do statku inni pasażerowie, a było na co patrzeć, bo powstała sprzeczka między podoficerami a czarnymi. Było to tak: Przewoźnicy brali od osoby 50 c. w tamtą stronę, ale z powrotem chcieli franka, nie mówiąc jednak nic o tem, a gdy dopiero dobijali do statku. Podoficerowie nie chcieli się na to zgodzić, ofiarując tyle co przedtem, oni znów za 50 c. nie chcieli dalej wiosłować. Wszczęła się kłótnia a nawet bijatyka. Murzyni powskakiwali do morza, aby uniknąć ciosów, a pływają jak ryby, łódki zaś z pasażerami odpychali od okrętu, by do niego nie mogli dopłynąć. Podoficerom jednak udało dostać się do statku, co wywoływało u nich przekleństwa w ich języku. Długo krzyki trwały, zanim okręt popłynął dalej, więc stałam na pokładzie i przypatrywałam się niebu; było ono ciemno-szafirowe i usiane gwiazdami.

Następną noc straszny upał i duszność nie pozwoliły nam spać w kajucie, tem więcej, że z powodu wpadających bałwanów, trzeba było okienko mieć zamknięte. Musieliśmy iść na pokład i tam, usiadłszy w fotelach, postanowiliśmy spędzić noc. Ale oto stało się inaczej. Młodzi oficerowie, mając we trzech kajutę po drugiej stronie, gdzie bałwany nie wpadały i okienko mogło być otwarte, przyszli prosić nas do siebie, a sami ofiarowali się zostać na pokładzie. Z początku rodzice nie chcieli tej ofiary przyjąć, ale kiedy się pokazało, że kajuta już dla nas gotowa i wyprzątana, nie można było odmówić.

Teraz od tego wypadku z Georgem wszyscy przesadzają się w grzeczności dla nas i chociaż przedtem byli także uprzejmi, to teraz już nas uważają za pierwsze osoby na statku. Nawet generał często przychodzi do nas i rozmawia. Dowiaduje się o pochodzeniu tatusia i o jego dotychczasowej działalności.

Poszliśmy zatem do ich kajuty, gdzie pysznie się nam spało. Obudziła mnie mamusia wcześniej, aby poczciwi oficerowie mogli powrócić do siebie i zmienić ubranie.

Wczoraj tańczyliśmy sobie. Mówię w liczbie mnogiej, bo oprócz mamusi i pani Péllacot i ja tańczyłam i to nie z dziećmi ale z dużymi panami, zupełnie jak jaka dorosła osoba. Oficerowie zapraszali mnie, kłaniając się, tak samo jak przed mamusią i panią Péllacot. Jak się mamusia dowiedziała, że mają być tańce, z początku nie chciała do nich należeć, ale tatuś zaczął namawiać, więc nie tylko, że sama tańczyła, ale i mnie tańczyć pozwoliła. Wprawdzie za mną się wstawiali oficerowie, nawet sam generał. Jakże byłam durną! Miałam na sobie białą sukienkę z czerwoną wstążką w pasie i przy włosach, bo ojczulek najlepiej lubi te dwie barwy zestawione.

Kiedy weszłam tak ubrana na pokład, to aż się zaczerwieniłam, tak wszyscy na mnie patrzeli, ale to pewno nie dla ładnej sukienki, tylko dla mego podobieństwa do tatusia, który jest także brunet.

Muzyka grała, okręt płynął, noc była cicha i dosyć chłodna, morze spokojne, a pokład oświetlony niósł tań-

czące pary. Dziwili się oficerowie, że taka mała osoba jak ja, tak ładnie tańczy,—oni wcale nie byli dla mnie za woscy, bo Francuzi są po większej części średniego wzrostu, a ja na mój wiek jestem duża, więc tańczyliśmy sobie, jakbym była dorosłą. Komendant także ze mną tańczył, ale to tylko z grzeczności dla tatusia. Prosiłam do wata tatusia, bo mnie go sam uczył — nie odmówił. — Aci! jak to miło tańczyć z ojczulkiem; kiedy mnie puścił pocałowałam go w rękę, Francuzi spojrzeli po sobie, ale nie powiedzieli, a pani Péllacot zwracając się do mamusi, powiedziała po cichu: Uważam, że macie zwyczajnie zbliżone do tych, jakie panują między naszą arystokracją.

Po tych tańcach bardzo mi się dobrze spało! Kriobraz wcale się nie zmienia, woda i niebo, niebo i woda, a ta ostatnia spokojna, że prawie się nie porusza, jak szba lodu. Czasem widać ryby latające. Wieczorem woda świeci fosforycznie, ale nie bardzo, bo za wielki nako spokój. Widzimy też od dni kilkunastu konstelację. Aby tam tego może nie spostrzegła, za wielki ze mnie nie to roztrzepaniec, ale ojczulek mi pokazał la croix du sud, cztery gwiazdy tworzące krzyż; ale wielką niedźwiedź także jeszcze widać trochę, lecz już niżej na północ, a my obecnie płyniemy ciągle ku południowi. Ojczulek i komendant powynosili na pokład swoje wojskowe perspektywy i wszystko mi tłumaczyli. Tak teraz te gwiazdy znam i wiem gdzie ich szukać, że mogłabym nawet innych uczyć.

Takie straszne gorąco, dosłownie wytrzymać nie mogę, cała jestem w potach, co chwilę chwytam wachlacz i chłodzę się. Mamy w cieniu 40 stopni. Jak już raz sarniemy i będziemy u siebie, to mi gorąco nie będzie tak dokuczająco, jak teraz, pozwolę sobie na wielki negliż. Za cztery do sześciu godzin staniemy w Colombo na wyspie Ceylonie. Jest to kolonia angielska. Mamunia rada, że trochę porozmawia po angielsku, bo na statku nikt tym językiem nie mówi.

(d. c. n.)

Bajka o chłopcu zaklętym w karła.

(Dokończenie).

Karzeł poszedł do swego mieszkania i znów poskazył się gęsi na los nieszczęśliwy, ale Mimi powiedziała:

— Nie trap się, wszystko będzie dobrze, bo masz w tym wypadku nadzwyczajne szczęście. Znam kichałka znakomicie, kwitnie tylko na nowiu, a że teraz mamy właśnie now, więc znaleźć go musimy. Lecz powiedz mi czy niema gdzie w bliskości pałacu starych kasztanów?

— Ale owszem, są — odrzekł Jakób i uczył, że wielki ciężar spada mu z serca.

— O jakie dwieście kroków od pałacu rośnie ten klomb cały. Lecz dlaczego pytasz się właśnie o kasztany?

— Bo tylko pod kasztanami rośnie to ziółko — odrzekła Mimi. — Teraz nie traćmy czasu, weź mnie na ręce zanieś pod drzewa, a poszukam ci kichałka.

Zabrawszy gęś pod pachę, wybrał się karzeł do ogrodu, ale w bramie nie chcieli go początkowo przepuścić.

dopiero musiał tłumaczyć się, że idzie szukać potrzebnych ziół. Ogród był otoczony wysokim murem, więc nie mogło być mowy o ucieczce i pozwolono mu wyjść. Wydostawszy się na świeże powietrze, posadził Nosal gęś na ziemi, a Mimi pofrunęła zaraz w stronę, gdzie stały kasztany.

Karzeł szedł za nią ze ściśniętym sercem, bo czuł, że od znalezienia drobnej roślinki życie jego lub śmierć zawisły — i postanowił, że jeżeli Mimi nie znajdzie kichałka, to wskoczy zaraz do jeziora i utopi się, gdyż woli taką śmierć aniżeli haniebne ucięcie głowy.

Tymczasem gęś chodziła od kasztana do kasztana, najmniejszej trawki, zdźbła najdrobniejszego dotykając dziobem, ale kichałka ani śladu! a ponieważ miała dobre i czułe serce, więc zaczęła płakać ze współczucia nad biednym Nosalem, któremu niechybna śmierć groziła. Wtem ujrzał karzeł z tamtej strony jeziora wielki stary kasztan, więc ucieszona Mimi poleciała tam szczęścia poszukać. Tymczasem już ciemności zaległy dokoła tak, że trudno było coś rozróżnić. Nagle gęś stanęła, radośnie zatrzepotawszy skrzydłami, i spuściwszy głowę, zaczęła czegoś pilnie szukać w trawie, a po chwili podała Nosalowi w dziobie jakiś kwiatek czerwony.

— Otóż masz — rzekła — jest tu tego tyle, że ci napewno wystarczy.

Karzeł przyglądał się roślince. Wydzielała ona z siebie ten sam dziwny zapach korzenny, który mu wyraźnie przypominał scenę czarów i ohydnej przemiany. Przytem miała roślina także niebiesko-zielone listki, a płatki korony były ponsowe z złotym rąbkiem.

— Chwała Bogu! — zawołał rozpromieniony — toż to cud prawdziwy! Czy wiesz, mnie się zdaje, że to to samo ziele, przez które zostałem zamieniony z chłopca wiewiórkę i karła. Spróbuję powąchać.

— Jeszcze nie — prosiła gęś — zabierz całą garść tych kwiatków i zanieś mnie do swego mieszkania. Tam najpierw zbierzesz wszystkie pieniądze, jakie masz, a potem dopiero spróbujemy siły ziela.

Tak też zrobili. Jakób spakował w tłomoczek swe odzienie, pięćdziesiąt zaoszczędzonych dukatów, a serce biło mu przytem jak młotem, tak był wzruszony. Potem wsadził nos w bukiet zbranych ziół i zaczął głęboko oddychać. Nagle uczuł jakieś straszne ciągnięcie, łamanie w kościach, w szyi; nogi urosły mu w oczach, wygładziły się plecy i piersi, zmałał nos — jednym słowem! karzeł znikł bez śladu, a na jego miejsce ukazał się smukły, przystojny dwudziestoletni młodzieniec.

Gęś przypatrywała się tej szybkiej przemianie z niezmiernem zadziwieniem; potem zawołała, nie tając powodu:

— Ach, jakiś ty wielki! jaki piękny! zupełnie inny niż dawniej.

Uradowany Jakób podziękował nasamprzód Bogu, a nie zapominając w szczęściu, że Mimi zawdzięcza ten pomyślny obrot rzeczy, ofiarował się, że ją do jej ojca odwiezie, jakkolwiek serce rwało się do rodziców. Mimi dziękowała mu ze łzami w oczach.

Zaraz też wyruszyli w drogę i przybyli szczęśliwie na Gotlandyą.

Burzyk przywrócił z całą łatwością ukochanej córce

dawną postać uroczej dziewicy, a Jakóba obdarzył sowie. — Resztę chyba domyślić się łatwo.

Nasz dawny Nosal powrócił do rodzinnego miasta, a rodzice tym razem chętnie przyznali się do ślicznego młodzieńca i przyjęli go jako syna. Za zaoszczędzone dukaty i otrzymaną od Burzyka nagrodę kupił ojcu ładny handel obuwia, a w ten sposób zabezpieczył rodzicom spokojne życie na starość.

Ale zajrzyjmy jeszcze na chwilę do książęcego pałacu, aby przekonać się, co się tam działo po nagłym zniknięciu karzełka.

Otóż straszny powstał tam niepokój; szukano Nosala po wszystkich kątach, lecz napróżno. Gość posądzal, że go książę ukrył gdzieś potajemnie, aby nie stracić wybornego kucharza, i w podrażnieniu zarzucił mu złamanie słowa. Z tego powodu powstała pomiędzy obu książętami wielka wojna, znana w historii pod nazwą wojny „Zielnej.” Stoczono niejedną krwawą bitwę, ale nareszcie został zawarty pokój, nazwany: „Pokojem pasztetowym,” albowiem podczas uroczystej uczy pokojowej podano na zgodę wspaniały pasztet „Suzeren,” króla wszystkich pasztetów, przyrządzony przez kucharza zagranicznego księcia sąsiada, ku wiekłej rozkoszy podniebienia dawnego pryncypała naszego Jakóba.

Oto dowód, jak nieraz z drobnostek wielkie wynikają skutki.

Podług Ebersa opracowała H. S.

Odgadywanie zamysłonej liczby.

W pewną niedzielę grudniową, kochany wuj Kazio przyszedł odwiedzić gromadkę swoich siostrzeńców.

— Wujaszku, wujaszku! proszę nam pokazać jaką nową sztukę! — rozlegał się chór wesóły, bo wujaszek Kazio był sztukmistrzem nielada i zawsze miał jakiś nowy figiel lub sztuczkę dla swych ulubieńców.

— Dobrze! — odrzekł z uśmiechem — będę dzisiaj zgadywał wasze myśli.

To mówiąc, wyjął z kieszeni i położył na stole sześć tabliczek z wypisanymi liczbami, jak tu widzimy:

1	23	45
3	25	47
5	27	49
7	29	51
9	31	53
11	33	55
13	35	57
15	37	59
17	39	61
19	41	63
21	43	

2	23	46
3	26	47
6	27	50
7	30	51
10	31	54
11	34	55
14	35	58
15	38	59
18	39	62
19	42	63
22	43	

4	23	46
5	28	47
6	29	52
7	30	53
12	31	54
13	36	55
14	37	60
15	38	61
20	39	62
21	44	63
22	45	

8	27	46
9	28	47
10	29	56
11	30	57
12	31	58
13	40	59
14	41	60
15	42	61
24	43	62
25	44	63
26	45	

16	27	54
17	28	55
18	29	56
19	30	57
20	31	58
21	48	59
22	49	60
23	50	61
24	51	62
25	52	63
26	53	

32	43	54
33	44	55
34	45	56
35	46	57
36	47	58
37	48	59
38	49	60
39	50	61
40	51	62
41	52	63
42	53	

— No, Zosiu, pomyśl sobie jedną z liczb, wypisanych na którejś z tych tabliczek i szepnij ją Józiovi w prawe a Stasiowi w lewe ucho, lecz cichutko, żebym nie posłyszał!

— Już wybrałam — odpowiedziała Zosia, poczem odeszła z braćmi aż do kąta, aby im szepnąć wybraną liczbę.

— Teraz — rzekł wujaszek — daj mi te tablice, na których znajduje się owa liczba!

Zosia pomyślała 12-kę, a że ta liczba znajdowała się na dwóch tablicach, więc je podała wujowi.

Ten rzucił tylko okiem na nie i zawołał: ho! ho! dwunasty miesiąc — więc wybrałaś 12-kę! Wszak prawda?

— Prawda — zawołała cała gromadka.

Kilka razy odgadywał wuj w ten sam sposób zamyślonę liczbę, a dzieci choć oglądały tablice, nie mogły dojść, na czym ta sztuka polega.

Wreszcie wujaszek sam ją wyjaśnił.

— Kiedy odgadujący otrzyma wszystkie te tablice, na których znajduje się zamyślona liczba, powinien dodać do siebie pierwsze liczby pierwszego szeregu, a suma ich będzie właśnie ową zamyśloną cyfrą. Dwunastka up. znajduje się na dwóch tablicach, na jednej z nich pierwszą liczbą jest 4, na drugiej — 8; dodawszy 4 + 8 mamy 12. Sztuka jest więc bardzo prosta, a cała trudność polegała na właściwym ustawieniu liczb na tabliczkach.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 45.

Zagadki: Targ — grat.

Zagadki kombinacyjnej:

Cicha woda brzegi rwie.



Skrzynka do listów.

Pliszcze. Obiedwie twoje robótki przysły na czas oznaczony, a wynik konkursu, przeczytasz jednocześnie z tą odpowiedzią. Radzi jesteśmy, iż zapragnęłaś nawiązać przerwana korespondencję, a że przy licznych godzinach lekcji czasu masz mało, rozumiemy aż nadto. Struś już od dawna zaprzyjaźniony jest z naszą Redakcją, wszak czytasz jego listy.

Helence S. będziemy nadal wysyłać „Wieczory” do Włoch pod wskazanym adresem. Życzymy byś osiągnęła wiele korzyści i przyjemności z tak miłej podróży. Za zmianę adresu należy 14 kop.

Maryli. Wierszyk nie nadaje się do druku. Z szarad i zagadek skorzystamy.

Dobre rozwiązania zadań, jako też zadania własnego układu nadesłali: Stokrotka, Stanisław Sow., Mały Raczek, Stefan Liedt, Biała Mewa, Lilijka z Chmielnej, A. Chm., i Maryla z nad Bzury.

Stasia Lipkowska złożyła dla najbiedniejszych rb. 3, które oddaliśmy potrzebującemu wsparcia uczniowi.

W zesłanym numerze tylko kilku słowami odpowiedziałam na miły list Diny K. czyli Błędnego Ognika bo mojej skrzynce dostało się niewiele miejsca w łamach „Wieczorów,” więc i w odpowiedziach skąpa być musiałam. Dzisiaj za to muszę ci podziękować, że po długim namyśle, zapragnęłaś wreszcie zapisać się na listę moich korespondentek, ale tylko na twoje listy odpisywać będę, bo w korespondencji pomiędzy czytelniczkami jak tego życzysz względem Te-Be, pośredniczyć nie mogę.

Halka Dyn. rada pewno będzie z rezultatu konkursu i roboty. O wyrozumiałość proszę mnie niepotrzebnie, bo nie jestem tak wymagająca, aby mnie twój liścik bardzo dobrze, czy sto i porządnie napisaany, nie zadowolił zupełnie. Siostrzyczko za uściśnienia dziękuję, nawzajem pozdrawiając je serdecznie.

Moja marzycielko Stokrotko, lubisz słońce, jaskółki i przegniesz „słodkich” i „przyjemnych” odpowiedzi! Pierwsze i drugie przyniesie ci wiosna, o trzecie sama postarać się musisz, pisząc do mnie częściej i obszerniej, bo na krótką kartkę, trudno mi odpowiedzieć, tak jak sobie tego życzysz. Do widzenia więc do przyszłego razu.

I tobie Srebrna Topolko, też same słowa co Halce D. powtórzyć trzeba, jam nie sędzia surowy, lecz serdeczna wasza przyjacielka, która ganić nie lubi, lecz woli zachęcać. Zresztą o naganiu mowy być nie może, gdyż piszesz ładnie, poprawnie i starannie. „Dzienniczek Wandzi” jest zupełnie prawdziwy, piszę go rzeczywiście wasza rówieśniczka, a Redakcja otrzymuje go za pośrednictwem jej ciotki.

Trzem Raczkom z Siedlisk. Niestety, wasze dwa ostatnie listy zaginęły na pocztę, a ja, nie otrzymując od tak dawna ani słówka, odezwałam się pierwsza, nie wiedząc czemu przypisywać tak długie milczenie. Mam nadzieję, że wynagrodzicie mi przykrość, jaką mi poczta uczyniła, i choć w streszczeniu z dwiema zaginionych w jednym doniesiecie, jak przeszły wakacje i co teraz porabiacie. Nagroda wysłana.

Mohort spóźnił się z rozwiązaniem długo sylabowych zadań. Na pytanie jego jeszcze odpowiedzieć nie mogę.

Dziękuję za pozdrowienie od Jurka Neym. ale mam nadzieję, że sam do mnie napisze.

Pamięć twoja Biała Mewo, była mi nader miła, cieszę się wraz z tobą przyjemnością, jaka cię czeka w tak miłej podróży i wdzięczna jestem, że obiecujesz nie zapominać o mnie. Jak tylko podasz swój adres we Francji, wyślemy ci zaległe numery. Arytmogryf wkrótce pewnie będzie pomieszczony, Życząc ci jak najlepszej i najprzyjemniejszej podróży i nadal się twej pamięci polecam.

Krynia z nad Słuczy ma zupełną słuszość, twierdząc, że konkurs robót ma podwójne znaczenie dla biorących w nim udział. Każdy za pracę swoją chciałby być nagrodzony, nie ulega wątpliwości, ale gdy kogo nagroda ominie, na pociechę ma zadowolenie własne, że biednemu dopomógł. O kartkach z widokami Ojcowa dowiem się sama i w przyszłym numerze doniosę.

Kilka nowych korespondentek przyniosła mi poczta dzisiaj, a wśród nich Marylkę z nad Bzury. Że wolisz wieś od miasta, bynajmniej ci się nie dziwię, ale nauki łatwiej w mieście prowadzić, a przy nauce, ani na nudę, ani na tęsknotę czasu nie ma. Czy braciszek chodzi do szkoły, a ty czy uczysz się na pensyi, czy sama w domu pobierasz lekcje? Tablica gry do „Testamentu Dziwaka,” o którą zapytujesz, w końcu roku ma być dołączona.

Julci Dor. za piękną kartkę z Odesy bardzo dziękuję, a nie wiem doprawdy jak mam podziękować kochanej Azytce za cały zbiór tak ładnych i oryginalnych kartek z Taszkientu i Samarkandy oraz za jej list długi i pelen ciekawych wiadomości. Wynagrodził mi twoje długie milczenie, którym się już zaczynałam niepokoić. bojąc się, czyś mnie nie wymazała ze swej pamięci. Serdecznie się cieszę, że moje obawy okazały się płonne. Ze stron tak odległych niewiele listów otrzymuję, mam jednak dwie korespondentki z Ameryki, jedną z Afryki, a z Azji oprócz ciebie, od dwóch braci listy otrzymywałam. Dawniej i w Chinach korespondowałam z jedną panią, raz w Japonii, jednym słowem z różnych części świata dochodziły mi mile listy i liściki. Polecam się twej pamięci i proszę o częstsze wiadomości

Szczerze przyjazna

Jaskółku.